NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 47 Katowice, 27-go listopada 1932

Niedziela pierwsza Adwentu.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian, rozdz. 13, w. 11—14.

Bracia: Wiedzmy, iż już jest godzina, abyśmy ze snu powstali. Albowiem teraz bliższe jest nasze zbawienie, niż kiedyśmy uwierzyli. Noc przeminęła, a dzień się przybliżył. Odrzućmy tedy uczynki ciemności, a obleczmy się w zbroję światłości. Jako we dnie uczciwie chodźmy: nie w biesiadach i pijaństwach, nie w łóżach i niewstydliwościach, nie w zwadzie i w zazdrości: ale się obleczcie w Pana Jezusa Chrystusa.

EWANGELJA

u św. Łukasza w rozdziale XXI, od w. 25—33.

W on czas: Mówił Jezus uczniom Swoim: Będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi ucisk ludów i zamieszanie wobec szumu morskiego i bałwanów; gdyż ludzie szaleć będą ze strachu i oczekiwania tego, co na cały świat przypadnie; albowiem potęgi niebios zostaną wstrząśnięte. I wówczas ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego na obłoku, z potęgą i chwałą wielką. Gdy zaś to dziać się zacznie, nabierzcie ducha i podnieście głowy wasze, bo zbliża się wasze wybawienie. Opowiedział im też przypowieść: Spojrzyjcie na drzewo figowe i wszelakie drzewa. Gdy już wydają z siebie owoc, poznajecie, że lato się zbliża. Podobnie i wy, gdy ujrzycie, że to się dzieje, wiedzcie, że Królestwo Boże jest bliskie. Zaprawdę, powiadam wam: nie przejdzie to plemię, aż wszystko się stanie. Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą.

NAUKA.

I.

W dzisiejszej ewangelji mowa o dwóch rodzajach ludzi. Jeden, widząc znaki na słońcu, usycha z przerażenia. Drugi nawet w tak niebezpiecznych chwilach ufnie spoglądać umie w przyszłość, bo bliskie jest „odkupienie". Tym drugim to prawdziwy chrześcijanin.

Chrześcijanin prócz grzechu niczego się nie boi. Cóż złego spotkać go może? Śmierć? Przecież zyskiem mu jest i zbawieniem. On duszą żyje. A duszy nikt mu zabrać ani uszkodzić nie potrafi.

Dlatego chrześcijaństwo jest **religją odważnych. Religją optymistów** czyli ludzi pogodnie patrzących w przyszłość. **Religią bohaterów** nie uznających bojaźni przed śmiercią. Dlatego biskup Atanazy († 377) dla jednego zdania z katechizmu pięć razy wypędzony z stolicy biskupiej potrafił pięć razy na nią wrócić. Dlatego umierający Augustyn († 430) patrząc na napad Wandalów i Alanów, na mordowanie ludzi, na palenie miast i świątyń, kreśli w tak okropnych chwilach z filozoficznym spokojem do swego pamiętnika słowa: Nie jest wielkim ten, który za rzecz wielką uważa, gdy sypią się kamienie, belki się łamią i śmiertelni umierają...

II.

Zwiedzałem w tych dniach zakład obłąkanych. Ogród, dom, podwórze — wszystko w nadzwyczajnym porządku. Ludzie wszyscy na pozór zupełnie zdrowi. Potrafią pić, jeść, spać, słyszeć, widzieć, chodzić, mówić i odznaczają się niejednokrotnie nadzwyczajną siłą ciała. Pracują przeważnie w roli, ogrodzie, warsztacie od rana do wieczora. A jednak mimo wszystkiego zewnętrznego porządku u każdego z nich jedno wielkie „ale"... Tamten człowiek z łopatą w ręku", powiada mój towarzysz, „uważa się za króla szwedzkiego. Tamten — krawiec z zawodu — za papieża, ten tu — były kadet wojskowy — za Napoleona"... I tak każdy w tym domu ma swój gwóźdź w głowie, swe wielkie lub małe pomylenie, swą mrzonkę, która w tak straszny oszukuje go sposób. Wobec tego i praca, którą tu wykonują, nie jest właściwą pracą. Brak jej bowiem celu, konsekwencji, ostatecznej racji, „ręce trzymają zwykłą łopatę, a oczy z zachwytem na nią patrzą, jak na szpadę rycerską..."

Czy na świecie niema podobnych warjatów? Czy na świecie nie dosyć ludzi, bez celu i bez konsekwencji? Czy nie masz takich, którzy pracują i harują od rana do wieczora i w pracy lub w groszu całkowite widzą swe szczęście i swój cel jedyny? Ten stary bankier, ów kupiec, geszefciarz jada już tylko lekkostrawne zupki. A w kasie tyle pieniędzy, że zabezpieczyłyby mu dalsze sto lat życia, a smutny i bardzo nieszczęśliwy, ilekroć któryś dzień nowego nie przynosi mu zysku? Iluż tu na ziemi wśród nas „Napoleonów lub królów szwedzkich"? Ileż bereł złocistych, które w oczach Bożych nie tyle warte, ile rydel z drzewa?

Z dzisiejszą ewangelją rozpoczynamy rok nowy. Dlatego owo przypomnienie o 2 rodzajach ludzi, dlatego owo przypomnienie o 2 światach, o życiu doczesnem czyli o państwie księżyca, i o królestwie bożem. Dlatego wzmianka o celu ostatecznym człowieka i wielkim końcu rzeczy wszystkich. Dlatego to zawezwanie: spoglądajcie chrześcijanie radośnie w przyszłość. Głowy podnoście, synowie światła. Bo wszystko jest wasze, a tu na ziemi wam się stać nic nie może. Amen.

Jakie miłosierdzie jest prawdziwie chrześcijańskiem?

To wam przykazuję, abyście się społecznie miłowali. Ewangelja Św. Jana XV, 17.

Gdy Pan Jezus pięciorgiem chleba i dwiema rybami nakarmił pięć tysięcy ludzi, zaznacza Ewangelja, że zanim spełnił ten cudowny uczynek miłosierdzia, wpierw „spojrzał w niebo i błogosławił" pokarmy. — „I jedli wszyscy i najedli się" (św. Łukasz IX, 16—17).

Płynie więc z tej Ewangelji nauka, w jakim duchu chrześcijanin uczynki miłosierdzia pełnić powinien. Niech się modli, niech błogosławi, niech jego akcja będzie aktem religijnym, aby jego chleb nie tylko karmił, ale i sycił. To słowo Boże nad pokarmem wyrzeczone podnosi jego własności pożywne, stanowi jego podstawę najistotniejszą.

Za uczynki „miłosierdzia chrześcijańskiego" obiecał Pan Jezus nagrodę. Nawet kubek zimnej wody, podany bliźniemu w imię Chrystusa, nie ujdzie nagrody. Na sądzie ostatecznym uczynki miłosierdzia rozstrzygać będą o zbawieniu. Będą tam ci, do których przyszliśmy i którym pomogliśmy albo wzgardzone mnóstwo tych, którycheśmy zaniedbali lub odepchnęli. Żadnego innego świadka nie będzie potrzeba wzywać. Żadne oskarżenie nie będzie miało mocy takiej jak oskarżenie o brak litości.

„Tedy rzecze król tym, którzy będą po prawicy jego: Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie królestwo wam zgotowane od założenia świata. Albowiem łaknąłem, a nakarmiliśmie mnie; pragnąłem, a napoiliście mnie; byłem nagim, a przyodzialiście mnie; — chorym, a nawiedziliście mnie..."

Jak wyżej przy nakarmieniu pięciu tysięcy ludzi powiedziano, że wszyscy jedli i najedli się, tak tu podkreślona jest pełnia braterstwa chrześcijańskiego w uczynkach miłosierdzia: „nakarmiliście, napoiliście, przyodzialiście, nawiedziliście mnie". Podzieliliście się ze mną nie tylko pokarmem, napojem i odzieniem, ale i sercem, i życzliwem słowem Bożem, dlatego was nagrodzę, gdyż to serce, to słowo Boże mnie nakarmiło, napoiło i przyodziało.

* * *

Pewien dziejopis opowiada, jak cesarz niemiecki Karol V i król francuski Franciszek I różnili się w rozdawaniu urzędów. Karol V, zanim dał stanowisko, tyle nagderał, tak opryskliwie się zachowywał, że udarowany urzędem miał uczucie, że więcej stracił aniżeli zyskał. Wychodząc z pałacu, żałował, że cesarza wogóle o coś prosił.

Franciszek I często musiał odmówić łaski, o którą go proszono. Uczynił to jednak tak delikatnie, tyle okazał proszącemu ludzkości i dobrego serca, że poddany wracał do domu uszczęśliwiony, iż miał zaszczyt z tak miłym panem rozmawiać. W tej radości zapomniał o zawodzie, który go spotkał.

W głębi Rosji byliśmy w czasie wojny świadkami, jak naczelnik pewnego komitetu dobroczynnego rozdawał ciepłą odzież biednym wygnańcom polskim. Obchodził się z ludem tak wyniośle i po grubjańsku, że w każdym, któremu udzielił ubrania za trzydzieści rubli, znieważył godność ludzką za trzy tysiące.

Posłaliśmy do tego komitetu chłopca obdartego, aby go przyodział. Wrócił opatrzony, ale tak rzewnie płakał, jakby mu rodzona matka umarła. Zarzekał się, że choćby miał zmarznąć od zimna lub umrzeć z głodu, toby już nigdy tego pana o nic nie prosił.

Tak to my nieraz lichy gałgan, suchy kawałek chleba, marny grosik dajemy biednemu bratu z wyrzutem, maczamy w piołunie, zatruwamy jadem pychy i złośliwości.

Pamiętajmy zatem, że tylko miłosierdzie, które łączy serca i pomnaża miłość, zasługuje na szczytne miano akcji społecznej i katolickiej.

Nie zapominajmy nigdy, że dobroczynność, choćby nie wiem jak upozorowana sprawiedliwością, nie jest czynem katolickim, jeżeli rani godność i serce bliźniego. **Ludwik Posadzy.**

Adwent.

Wyrażenie to przyswojone jest mowie naszej z łacińskiego wyrazu **adwentus**, co oznacza dosłownie **przed przyjściem.**

Rozumie się tutaj przyjście Zbawiciela, którego ludzkość wyglądała w tęsknem oczekiwaniu przez 4 tysiące lat.

W dawnych wiekach obchodzono ten czas oczekiwania przez 40 dni, tak jak wielki post. Zaczynał się wtedy adwent nazajutrz po św. Marcinie; stąd był zwyczaj, że w dzień św. Marcina, jako w ostatni dzień nastaniem smutku, wyprawiano uczty, jedząc przytem gęsi pieczone, strucle, rogale itp.

Z czasem skrócono ten czas postu adwentowego, a owe 4 tysiące lat oczekiwania przypominają tylko 4 niedziele adwentowe; post zaś nakazany jest w tym czasie tylko w środy, piątki i soboty, przyczem Kościół św. jeszcze udziela dyspensy, czyli zwolnienia od postu.

Z początkiem adwentu rozpoczyna się nowy rok kościelny, a dzień św. Andrzeja uważany jest za ostatni dzień w roku. Stąd to i wróżby różne czynią ludzie w wieczór św. Andrzeja, tak jak i w dniu 31. grudnia.

Polacy, którzy od czasu przyjęcia wiary chrześcijańskiej odznaczali się wśród innych narodów wielką pobożnością, a zwłaszcza wielką czcią ku Matce Boskiej, czas adwentowy obchodzili zawsze skrupulatnie przystępowaniem do Sakramentów św., przygotowując dusze na przyjście Zbawiciela. W domach osobliwie śpiewano pieśni na cześć Marji.

Na Mazowszu i Podlasiu był zwyczaj, że rano i wieczór wygrywano te pieśni na ligawkach, wyszedłszy przed dom na miejsce otwarte. Rzeczywiście rzewność przenikała duszę, gdy tak o zmroku owe tony proste a melodyjne rozlegały się po polach.

Od pierwszego dnia adwentu rozpoczynały się po chatach **wieczornice.** Wtedy to i pieśni różne i opowieści z dawnych czasów, bajki i podania, przechodziły z ust do ust, z pokolenia na pokolenie.

Dziś już ten zwyczaj ustał zupełnie, bo zmieniły się warunki życia: kobiety nie znają kołowrotków a i mężczyźni nie wyrabiają sami narzędzi i sprzętów gospodarczych; maszyny po największej części zastępują w pracy ręce ludzkie.

Wieczory zimowe jednak, z których najdłuższe są właśnie w czasie adwentu, pozostały tak jak dawniej; pozostała też dawna pobożność Polaków, ich zamiłowanie do śpiewu, do opowieści, pociąg do rzeczy ciekawych a nieznanych.

Jakże więc dobrą i pożyteczną byłoby rzeczą odnowienie dawnych **wieczornic.** Wszak i dziś jeszcze Polacy chętnie schodzą się razem, lecz niestety dzieje się to najczęściej w knajpie, w szynkowni. Potrzeba tylko, aby znaleźli się tacy, którzyby sąsiadów i znajomych umieli zgromadzić w swoim domu; potrzeba tam tylko zachęty do śpiewu, potrzeba mieć pod ręką gazetę, książkę ciekawą, obrazki. Potrzeba mieć także wyrozumienie dla wesołości i żartów młodzieży, a wieczór zejdzie w towarzystwie miłe i dużo korzyści przyniesie dla oświaty współziomków. Niejednego męża taki wieczór spędzony godnie w gronie przyjaciół, odwiódłby może od kieliszka; niejednemu młodzieńcowi zwróciłby uwagę na obowiązki obywatela-Polaka; niejedną dziewicę utwierdziłby w dobrych

obyczajach. I przez życie całe, nieraz w późnej starości błogosławiliby może te długie wieczory zimowe i dalej potomstwu przekazywaliby zwyczaj zgromadzania się wspólnego i spędzania tychże wieczorów wśród śpiewu i czytania.

* * *

W czasie adwentu odprawia się codziennie rano przed świtem Msza św., zwana **roraty** od słów, które kapłan wymawia przy rozpoczęciu jej: „rorate coeli" itd., tj. „spuśćcie niebiosa rosę z wierzchu, a obłoki niech spuszczą z dżdżem Sprawiedliwego; niech otworzy się ziemia i zrodzi Zbawiciela".

Msza św. jest przypomnieniem, jak ludzkość przed przyjściem na świat Chrystusa, błądziła w ciemnościach i jak tęskniła do światła wiary.

Król polski Bolesław Wstydliwy (panujący od roku 1227—1279) wyrobił u Ojca świętego osobny przywilej dla Polski, mocą którego podczas Mszy św. roratowej pali się na ołtarzu siedem świec jako oznaczenie siedmiu stanów w Polsce, które w jednakiej skrusze gotują się na sąd Boży. Opisał ten zwyczaj wierszem poeta Ludwik Kondratowicz:

Od Bolesława, Łokietka, Leszka
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka
Stał na ołtarzu wśród Mszy roraty
Siedmioramienny lichtarz bogaty.
A starcy państwa szły do ołtarza,
A każdy jedną świecę rozżarza:
Król, który berłem potężnem włada
Prymas, najpierwsza senatu rada,
Senator świecki, opiekun prawa.
Szlachcic, co króla Polsce nadawa,
Żołnierz, co broni swoich współbraci,
Kupiec, co handlem ziomków bogaci
Chłopak, co z pola, z potu i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli.
Każdy na świecę grosz swój położy
I każdy gotów iść na sąd Boży".

Przeklęta brózda.

Pewnego burzliwego wieczoru Klaudjusz siedział przy kominku, wpatrzony w dogasające płomyki ogniska. Obok przysiadła żona i córka, obie milczące strudzone całodzienną pracą. Deszcz bębnił w szyby, wicher gwizdał, wył i jęczał naprzemian. Od czasu do czasu krwawy blask błyskawicy rozświetlał wnętrze izby, grzmot przewalał się z hukiem, a potem głęboka nieprzenikniona ciemność obejmowała chatę.

Oparłszy siwą głowę na ręku Klaudjusz zadumał się głęboko. Żona, kobieta przedwcześnie postarzała i wiecznie przygnębiona, spoglądała z obawą na męża, którego bała się niewymownie. I córka milczała uparcie. Podobna była do ojca z regularnych rysów twarzy, takie jak on miała piękne szare oczy i jak on niegdyś włosy bujne i czarne. A wyraz jej pięknego oblicza świadczył, że dziewczyna i z charakteru ojca przypomina: taka jak on była harda, zawzięta, pracowita, chciwa.

Zalśniła znowu czerwona błyskawica i stara przeżegnała się pobożnie. Wnet potem otwarły się upusty niebieskie i lunął deszcz tak straszliwy, jakby miał nastąpić nowy potop.

— Biedni ci, którzy nie mają dachu nad głową — westchnęła matka.

— Rzeka musiała wezbrać okrutnie — rzekł Klaudjusz.

— Rzeka . . . powtórzyła Małgosia jak echo.

W blasku nowej błyskawicy ojciec z córką spojrzeli sobie głęboko w oczy. Zrozumieli się bez słowa. Oboje myśleli w tej chwili o jednej i tej samej rzeczy.

— — — — — — — — —

By zrozumieć dalszy ciąg wypadków, trzeba się cofnąć nieco w przeszłość. Klaudjusz, najbogatszy w okolicy gospodarz za najcenniejszą cząstkę swego majątku uważał łąki. Z wytrwałością niesłychaną ulepszał je, dokupował, gdy mógł, zaokrąglał.

— Niema to jak łąki! — mówił nieraz w przystępie dobrego humoru. — Niema z niemi tego kłopotu, co z polem. Same się zasiewają, same dają plon. Byle tylko chwilę stosowną uchwycić i na sucho skosić, zgrabić i zwieźć sianko do stodoły.

Trzeba przyznać, że Klaudjusz umiał pracować za trzech. W lecie już o trzeciej rano prowadził konie do wodopoju, potem z robotnikami ruszał na łąki. Pierwszy stawał z kosą do pracy, ostatni z pola schodził. Pilnie uważał na kosiarzy i napominał ich ustawicznie, żeby siekli jak najniżej, tuż przy ziemi. Trudno opisać, jak się zwijał i jak ludzi popędzał, żeby siano wysuszyć w najgorszym upale i co tchu zwieźć do folwarku. Piętnaście, dwanaście godzin pracował prawie bez przerwy.

Wstrzemięźliwy był bardzo w jadle i napoju. Jeden tylko głód znał: głód ziemi. Mięsa kosztował chyba raz na tydzień, w niedzielę. Na codzień żywił się prawie wyłącznie chlebem i mlekiem, i to zwykle jadał w pośpiechu, na stojąco, byle jak najprędzej wrócić do roboty.

Małgosia tak jak ojciec zapamiętała była w pracy. Chciwa i skąpa myślała wyłącznie o pieniądzach. Gdy skończyła lat dziewiętnaście, postanowiła sobie, że zbierze wielki posag i wyjdzie za bogacza. Tą myślą żyła.

— — — — — — — — —

O czem rozmyślali ojciec i córka w ów burzliwy wieczór.

Najgorszą cząstką ich posiadłości był kawał ziemi, zwany Czerwoną Łączką. Była to rzeczywiście łąka bardzo licha, pochylona ku rzece, w górnej części usypana kamieniami, w dolnej podmokła, zarosła trzciną, szuwarem i mchami. Rzeczka, stanowiąca granicę posiadłości Klaudjusza, wiła się kapryśnie w dole, a tuż za nią, o dziwo! ciągnęła się łąka sąsiada tak cudna, że piękniejszej wymarzyć sobie nie podobna. Trawa tam rosła bujna nad podziw, szmaragdowej barwy, gęsta, prosta i niezmiernie wysoka. Tu i ówdzie rosły śliczne kwiaty: dzwonki fioletowe, bodziszki różnobarwne, skabiozy, i ktoby je tam zliczył. Roślinność miejscami tak była gęsta, że kryły się w niej gromady ptaków śpiewających, które za zbliżeniem człowieka z gwarem ulatywały pod niebo.

Klaudjusz z zadrością i z tajonym gniewem patrzał na cudzą własność tak ponętną. A piekła go zawiść, tem więcej, że cudna łąka sąsiada objęta z trzech stron rzeczką, wchodziła głębokim klinem w posiadłość Klaudjusza.

— Gdybyż to było moje! — myślał sobie, stojąc nad wodą.

Rzeczka graniczna na pozór skromna i spokojna, czyniła wielkie szkody. W jednem miejscu robiła wyrwy, podmywała korzenie nadbrzeżnych wierzb, urywała po kawałku ziemię, w innych znowu punktach osadzała muł i piasek tak obficie, że gruntu przybywało niemal w oczach. Klaudjusz umacniał brzeg ze swej strony jak mógł najstaranniej; natomiast sąsiad patrzył obojętnie na szkody, czynione przez wezbraną rzeczułkę. To też ów

klin, wchodzący tak głęboko w grunta Klaudjusza, w najwyższej swej części został poważnie naruszony. Gdyby woda go w tem miejscu przerwała, rzeka zmieniłaby swe koryto i owa cudna łączka połączyłaby się z posiadłością Klaudjusza.

Na kilka tygodni przed ową straszną burzą, ojciec i córka szli brzegiem rzeczki i patrzyli na spienioną wodę, która wytrwale biła w miejsce nadwątlone poprzedniemi powodziami.

— **Gdy rzeka wzbierze, wystarczyłoby raz pługiem przejechać, a łączka byłaby nasza** — rzekł ojciec do córki.

Siedząc przy kominie i nadsłuchując, jak burza wyje, a ulewa szumi, oboje myśleli, jakby zmienić bieg rzeki i zagarnąć dla siebie cudzą własność. Pokusa była silna. Zrozumieli się bez słów.

— — — — — — — — —

Córka wstała i poszła do stajni. Matka zerwała się także, ale Klaudjusz ją powstrzymał.

— Idź spać, kobieto. My oboje z Małgosią mamy jeszcze robotę.

Stara zniknęła bez słowa. Wówczas Klaudjusz zajrzał do stajni. Małgosia już zdejmowała uprząż z kołka. W ciemności konie tupały, ruszały się niespokojnie, głośno przeżuwały. Gdy gospodarz począł je odwiązywać, opierały się i zwracając głowy do żłobu, próbowały chwycić jeszcze garstkę siana.

— Nie zaprzęgaj do pługa. Pod starą gruszą leży porzucony pług — rzekł Klaudjusz.

— Tak będzie lepiej — odparła córka.

Wyszli na dwór. Ogarnęła ich ciemność, potem straszliwa jasność błyskawic. Wówczas strach ścisnął im serce. Jakże żałowali, że nie siedzą w tej chwili w ciepłej, suchej izbie! Ale uczynili już pierwszy krok ku przepaści i żadne nie chciało się cofnąć.

Ciemność panowała tak gęsta, że chwilami musieli stanąć i czekać, aż błyskawica pozwoli im się zorjentować, gdzie się znajdują. Konie szły przodem, drżąc i wzdrygając się ze strachu.

Znaleźli pług, zaprzęgli konie i skierowali się w stronę rzeki. Teraz trzeba było znaleźć miejsce najwygodniejsze do zaczęcia pracy. Wiedzieli, że należy przekopać łąkę w tem miejscu, gdzie rzeka czyni pętlicę, a wściekły prąd uderza o wąski pas ziemi, jak gdyby go chciał zmieść z powierzchni ziemi. Naprzeciw, na drugim brzegu, rosła kępa olszyny.

Błyskawice rozświecały coraz częściej niebo. Ojciec nadaremnie próbował zacząć brózdę. Nie szła mu robota.

— Ja będę orać — rzekła córka. — Wy mnie z tyłu popychajcie.

Wreszcie lemiesz zagłębił się w ziemię. Teraz ojciec ujął rękojeści pługa i szedł, pochylony mocno wprzód. Dziewczyna szła obok koni. Przemoczona do nitki, w czerwonej chustce jedwabnej na głowie, wyglądała jak wiedźma. Oczy jej błyszczały niesamowitym ogniem. Urwała gałązkę wierzbową i smagnęła konie. Szarpnęły mocno.

Otworzyła się szeroka brózda; brózda złodziejska i zdradziecka, brózda przeklęta! Burza huczała coraz groźniej, a brózda posuwała się naprzód i naprzód. Lemiesz błyszczał jak srebro. Konie rozdęły chrapy i oszalałe rzucały niespokojne spojrzenie dokoła siebie. Brózda coraz się wydłużała. Ojciec pochylił się nisko, zaciął zęby i szedł naprzód, zaciskając na rękojeści swe jastrzębie palce.

Córka smagała, popychała konie. Pogwizdywała przez zęby, niecierpliwie patrząc końca roboty, pełna radości.

Już dochodzili do mety. W poświacie błyskawicy ujrzeli kępę olszyny. Zaiste, dobrze im się udała ta brózda! — — — — — — — —

— Woda nadpłynie, — szepnął ojciec, ocierając czoło mokre od potu i deszczu.

Nagle, za nimi zaszumiało, ziemia drgnęła. Konie wystraszone stanęły w miejscu. Woda nadpływała.

Korytem prostem, świeżo przekopanem, płynęła hucznie, rwąca, szumiąca. Zdawała się mówić:

— Chcieliście, żebym przyszła? Oto jestem.

Konie porwały się z miejsca. Ojciec i córka chcieli uciec. Daremnie! Woda wypełniała przeklętą brózdę i goniła za nimi. Słyszeli szum. W tej chwili jeden koń się zerwał i wpadł w wodę. Stary, nadludzkim wysiłkiem zerwał rzemienie i wskoczył na drugiego konia. To samo zrobiła dziewczyna. Woda była o kilka kroków za nimi, posuwała się naprzód przekopaną brózdą. Próbował zmusić konia, by uskoczył nabok. Napróżno! Kiedy ostatnia sina błyskawica oświeciła ziemię, na łące nie było nikogo. Przeklęta brózda pochłonęła oraczy.

— — — — — — — — —

Rzeka płynie teraz jak sobie tego Klaudjusz życzył. Jedwabista, szmaragdowa, utkana kwiatami łączka znajduje się po tei stronie rzeczki. Ale Klaudjusz już się nie ucieszy tą zmianą.

Gdy na brzegu rzeki usiądzie rybak i zarzuci wędkę na głębinę, często haczyk utkwi gdzieś głęboko na dnie. Niecierpliwy rybak szarpie mocno wędką i wyciąga z toni strzępek czerwonej jedwabnej chusteczki i kilka długich, czarnych włosów.

Zapomniany naród.

Jeździliśmy często za niemieckich jeszcze czasów przez Śląsk pruski i Brandenburgję, częściej może jeszcze do Saksonji na roboty lub naukę jaką, ogrodnictwa czy inną. W czasie wojny światowej widzieć można było dużo, dużo naszych rodaków, — z tych, co to rok rocznie na „Saksy“ wędrowali, zatrzymanych przymusowo w Dreźnie (stolicy Saksonji). Licznie też znajdowali się tam nasi ranni żołnierze w mnogich szpitalach tego wielkiego miasta, jak osobiście stwierdzić danem mi było. Wielu z oddziałami wojskowemi „stało“ w Görlitz (w Zgorzelicach) na Śląsku Dolnym. Niejeden więc zna i pamięta tamte strony, niejeden dziś też jeździ może przez te ziemie i miejscowości hen, dalej w świat, lub zatrzymuje się w nich nawet krócej czy dłużej; przez Brandenburgję przecież droga do Francji, gdzie emigracja nasza tak liczna! Zepewne niejednokrotnie też odbiły się o nasze uszy tam w Niemczech nazwy: „Łużyce i Wendowie“ albo i „Serbowie“, które przypominają swe okolice i ich mieszkańców. Słysząc jednak wszystko wyłącznie w języku niemieckim, tak oswoiliśmy się z jego brzmieniem jak i z brzmieniem nazw tamtejszych miejscowości, że rzadko albo wcale nie przychodzi nam na myśl lub może zupełnie nie wiemy, iż ci Wendowie czy Serbowie, choć przeważnie po niemiecku mówiący, nie są jednakowoż Niemcami, i że niegdyś tam panującym był język inny, że naprzykład znane ogólnie „Dresden“ (po polsku Drezno), to dawne starosłowiańskie Drażdżany albo Drieżdżany, Meissen to — Miśno; Bautzen — Budysin; Kottbus — Chóśobuż. (My po polsku nazywamy te miasta: Drezno, Miśnia, Budziszyn, Chociebuż).

(Dokończenie nastąpi.)